



Kochani...

Opowiedziałem już Wam o tym, jakem to Krasnalka Wędrownego zastąpić musiał i o tym, jakem się z Krasnalem Leśnym spotkał z nim rozmawiał.

Dawne to były dzieje, bo wtedy dopiero nowy roczek z pieluch wylaził i zima stała sroga, a teraz już Marzec-Kapryśnik do nas przywędrował i dąsy swe wyprawa.

Pan Marzec-Kapryśnik przyniósł ze sobą pieczolowicie w zanadru schowany chuch Wiosenki i, platając figla Ziemi, wypuścił go na śniegi i lody.

Zmartwiła się Zima, marudzić zaczęła a kwękać, aż jej wszystkie pagórki ze śniegu wylasyły i runię nietkniętego przez mróz zboża się zazieleniły. Beknęła skrzywdzona Zima strumykami stopionego śniegu i rozmazała nieumytą ręką swe lzy po drogach i ścieżynach, które od razu się blokiem pokryły.

Nieladne się drogi zrobiły. Czarne takie, śliskie i mokre, a sanki po nich leciutko się ślizgać nie chciały. Toteż buciary podkówkami zaopatrzone jeszcze usilniej tłuszczem wielorybim trzeba smarować, przy ciepłym piecu lubo przy ognisku suszyć i znów smarować ze stron wszystkich: i zelówki i wierzchy, żeby miękkie były i wody nie przepuszczały. Bo niesmarowane, to takie śliskie i rozlaże się robią, jak żaby pokraczne. Ale jak się je tak rzetelnie tłuszczem napoi, to nie a nie wody się nie boją i z największej kaluży suche, jak kaczki ze stawu, wychodzą.

A więc w wysmarowanych pięknie bu-

ciarach chodzę wciąż jeszcze po świecie, bo Krasnalek Wędrowny, acz z łózcodka już się wygramolił, słaby wciąż jest okrutnie i wypoczynku długiego zażywać musi. Tak mu lekarz zalecił.

Wędruję więc po świecie i różne cuda cudeńka oglądam, boć świat jest szeroki, a dziwów na nim najróżniejszych bez liku i ludzi różnych rozmaitych i domków najzabawniejszych i kamienie wielkich i pagórków garbatych i drzew rosochatych, rzeczulek krętych i jezior zamarniętych i krzaków dziwacznych i zwierzątek cudacznych...

No i przyjaciół i znajomków zawsze się spotka.

Onegdaj widziałem Krasnala-Wierzbnika, jak bazie aksamitne szczołeczką mistrzną na wierzbach cesał. Zdziwiony byłem nieco, toż to Wierzbnia jeszcze daleko. Pytałem więc więc go, czemu się z robotą pośpieszył. Odpowiedział że spóźnił się z nabyciem kalendarza, teraz już wszystkie wyprzedane, a bez kalendarza nie wie, jak z tym jest — czas, czy nie czas. Poczul chuch wiosenki, no i wziął się do pracy.

Znowuż wczoraj po południu spotkałem Waszego dobrego znajomego. Nie powiem, jak ma na imię, bo pewnieby się o to na mnie pogniewał, ale i tak się domyślicie, bo znacie go dobrze.

A było to tak:

Człapię sobie po blokiem pokrytej, lodem brukowanej drodze, a wietrzyśko szarpie mi płaszcz na wsze strony. Patrząc,

a tu na pniu łozy przydrożnej chłopczy-
na siedzi skulony. Na kolanach torbę z
książkami trzyma i pochlipuje żałośnie.

Zatrzymuję się. Patrzę, a to... Ale nie,
prawdziwego imienia nie powiem, nazwę
go Figlikiem. Więc na tym piętku Figie-
lek siedzi i poplakuje gorzko.

Przysiadam się doń i o przyczynę lez
pytam.

— Dwuuuuję dosta — a — a — łem,
dwiee dwuuuje dostałem! — odpowiada
łkając.

— To smutno — mówię. — Ale po cóż
płakać, dostaniesz jutro dwie piątki i
sprawa skończona. Cenzurka będzie do-
bra, sam będziesz rad i Rodzice się u-
cieszą.

— Ta a — ak, żeby to tak byyyyy!

Pierwsza cenzurka była z dwuuuuja-
mi, druga też i teraz znoooou . . .

Pani mówi, że z pewnością na drugi rok
zostanę..

— A czemuś to, Figliku, takie marne
stopnie masz? Leniuszek pewnie z Cie-
bie?

— Może i leniuszek. Ale to tak: w je-
sieni myślałem, że to jeszcze dużo, dużo
czasu dla nauki, cała długa zima. A tu
jesień taka piękna w „bleiki“ trzeba było
zabawić się i piłkę kopnąć czasem i tam i
siam polecieć — mówił już nieco spokoj-
niej Figlik.

— A zimą?

— A zimą to znów śnieg był taki ładny,
saneczkami z góryśmy jeździli, bałwany
lepili, a Kajtuś to ma narty, więc z nim..

— No doBrze, to we dnie, ale dnie zi-
mowe są krótkie, a wieczory długie, więc
wieczorami mogłeś się uczyć.

Figlik milczał chwilę poczem się przy-
znał:

— Tak bardzo się nie chciało, były
książeczki ciekawe i to i owo. Myślałem
— jutro. Jutro znów, — że od ponie-
działku . . .

Taaak, a teraz to już nic nie pomoże,
bo już na dwu cenzurkach mam dwuje i
napewno na drugi rok zostanę!

— E, Figliku! Tak nie można. Na dru-
gi rok zostać, to wstyd wielki i zmartwie-
nie dla Mamusi. Pomyśl tylko, że na
przyszły rok będziesz musiał siedzieć wraz
z trzeciakami, a piąta da wam łupnia na
kule śnieżne. No, nie?

— Pewno, że da w skórę, bo co nasi
chłopaki, to nie trzeciaki — powiedział
Figlik i znów zachlipał głośno, aż mi się go
żał zrobiło.

Długośmy jeszcze gadali z Figlikiem,
zanim go przekonał, że jeszcze nie wszy-
stko stracone, niech tylko nie da się skusić
płochy wiosence i fałdy sobie rzetelnie
przysiedzi nad książką, to napewno nie
zostanie na drugi rok.

Nie bardzo chciał wierzyć, ale mi obie-
cał solennie, że wszystkich sił przyłoży,
ażeby nie zostać.

Myślę, że dotrzyma. A jak wy myśli-
cie? Znacnie przecie wszyscy Figlika!

No ścisłkam Was serdecznie. Napiszę do
Was niedługo.

Krasnal Długonogi

Co dzieci widziały w Warszawie

1. NA DWORCU

Lokomotywa sapiąc wtoczyła się na
dworzec.

— Warszawa!

— Dzieci, wysiadać!

— Nareszcie jesteście w Warszawie!

— Patrzcie, to dzieci ze wsi przyjecha-
ły na wycieczkę do stolicy.

— Jakie opalone!

— Przyjechały w gościnę do dzieci war-
szawskich.

— Z daleka jesteście?

— O jeszcze ja!

— Ze wsi Góra proszę pani.

— Dzieci, uwaga! Trzymajcie się ra-
zem, bo możecie się pogubić.

— Antek, spójrz, jaki wielki zegar na
wieży!

— Uwaga! Idziemy zwiedzać i oglądać
Warszawę. Chłopcy, za mną!

2. NAD WISŁĄ

— Ojej! Jakaż to duża rzeka!

— Królowa rzek polskich. Wiele pię-
knych miast nad nią leży: Kraków Wło-
clawek. Płock. Toruń.

— Pewnie bardzo głęboka.

— A jaka szeroka! Franek, bałbyś się
ją przepłynąć?

— Możebym się i bał.

— Patrzcie, chłopcy, statek płyniel

— Jaka moc ludzi na nim!

— Pewno jadą do Gdańska. Dwa dni
będą jechali, a może i dłużej.

— No, no!

— Cóż w tym dziwnego? Stałek jest urządzony wewnątrz, jak mieszkanie.

Można tam spać wygodnie i jeść i bawić się.

— Proszę pana, a po co tyle mostów jest nad Wisłą?

— Popatrzcie: tamten pierwszy z lewej strony, to stary most kolejowy, po którym już pociągi nie jeżdżą. Następny, to most kolejowy, prowadzący na dworzec Gdański.

— A ten co jest zrobiony z żelaznych krat?

— To most Kierbedzia*), po którym przejeżdżają tramwaje, dorożki, samochody.

— A czwarty?

— Czwarty jest najnowszy. To most kolejowy, łączący bezpośrednio tamtą stronę Wisły z Dworcem Głównym, który mieści się w samym środku Warszawy.

— Ach, tak! To myśmy jechali właśnie przez ten most.

— Co to zaraz od niego zaczyna się tunel.

— Tak ciemno było w tym tunelu.

— Mnie się jednak zdaje, że najładniejszy jest ten ostatni most z prawej strony.

— To most Księcia Poniatowskiego.

— Taki stary?

— Nie, dzieci. Tak się tylko nazywa. Książę Poniatowski nigdy po nim nie chodził.

— Franek, bałbyś się skoczyć z tego mostu do wody?

— Możebym się i bał.

— No, to nie skacz. Nikt ci nie każe.

3. BELWEDER

Od bramy idzie ścieżka

Pod same mury białe,

Gdzie myślał i gdzie mieszkał

Wielki Marszałek

Chłopcy obnażają głowy, wchodzą na dziedziniec i w ciszy przyglądają się palacowi belwederskiemu.

Na ganku ukazuje się pan oficer i z uśmiechem zbliża się do małych gości.

— Czy wiecie, że Marszałek Piłsudski bardzo kochał dzieci?

*) Stanisław Kierbedź, sławny inżynier polski, wybudował ten właśnie most w Warszawie.

— Wiemy.

— Nieraz w dniu imienin Pana Marszałka tłum dzieci zbierał się na tym dziedzińcu, a Pan Marszałek z nimi rozmawiał, głaskał po głowie i całował w czoło.

— Taki pocałunek będzie się chyba pamiętało przez całe życie.

— A dzieci Mu przynosiły polne kwiaty.

— Franek, szkoda, że nas tutaj nie było. Widzielibyśmy Pana Marszałka na własne oczy.

— Spójrzcie, dzieci, widzicie to okno po prawej stronie? W tamtym pokoju Marszałek Piłsudski życie zakończył.

Chłopcy w milczeniu wpatrują się w okno, jak gdyby spodziewali się ujrzeć w nim twarz Wielkiego Marszałka.

Stoją długo w skupieniu.

— Franek, zmwó dacierz za duszę Marszałka Piłsudskiego.

4. ZAMEK

— Spójrzcie! oto jest Zamek Królewski, w którym stale mieszka Pan Prezydent. Jeśli chorągiew jest podniesiona, to znaczy, że Pan Prezydent jest w domu.

— Mój Boże, żeby tak Pana Prezydenta można było zobaczyć!

— Napewno chętnieby was przyjął, bo jest bardzo dobry i ogromnie kocha dzieci. Przecież dzieci, to przyszłość Polski!

— No, to chodźmy!

— O, nie! Pan Prezydent jest bardzo zajęty sprawami państwowymi. Pomyślcie tylko, co by to było, gdyby wszystkie dzieci polskie chciały dostać się do Pana Prezydenta.

— Niby, rzeczywiście.

— Proszę pana, otwierają bramę!

— Franek, patrz!

— Dzieci! Uwaga! Prędko! W tym pierwszym samochodzie.

— Pan Prezydent!

— Antek, Pan Prezydent nam się odkilonił!

— Franku, uspokój się, nie krzycz tak!

— Jakżeż nie mam krzyżeć, kiedy widziałem Pana Prezydenta!

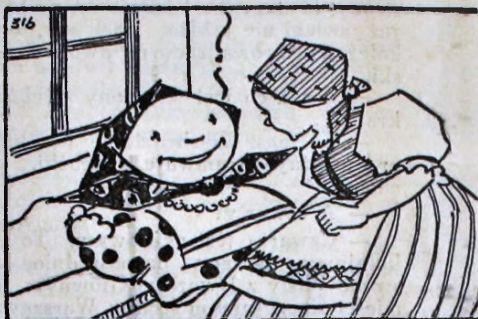
— Patrzcie, chłopcy! Nie ma chorągwi na Zamku. Pan Prezydent wyjechał.

Jan Brzechwa

Jak Pyza



Lecz nasza Pyzula przez zimę, wiosenkę
Zniszczyła do szczeru butki i sukienkę.
Więc puka do chaty: — kurpiowska gosposiu!
Sprzedaj mi sukienkę, Pyzula cię prosi! —



Siedź Pyzulo w świetle! Przywołamy
Hanke.
Wedle Pyzy zrobi Hanka wycinankę,
Bo Hanka celuje wśród wszystkich
Kurpianek
W robocie pisanek, barwnych wycinanek.



— Gdzież-by tam sprzedawać, moja
wędrowniczko!
Chętnie cię obdarzy Kurpianka spódniczką.
To spódniczka, butki dla miłej Pyziny!
Weź jeszcze na szyję kurpiowskie bursztyny!



Jakaś ty Pyzulu piękna, jakaś ładna!
Tak krągłego liczka nie ma dziewczka żadna!
Siadź-że przy okienku w jasnym dzionka świetle,
Ogrzej się po zimie na wiosennym cieple. —

O trzech małych

Na dnie oceanu stał ogromny wspaniały
pałac z muszli i koralu i mieszkała w nim
piękna królowa wód. Pewnego razu za-
prosiła ona wszystkie syreny, wszystkie
najady i wszystkie inne morskie ludy na
wielką uroczystość nadania imion trzem
malutkim, złocistym sardynkom.

Zebrałi się więc goście, błędzili po
bajkowym ogrodzie między dziwacznymi
roślinami. Przy wspaniałej orkiestrze i
chórze fal nadała wreszcie królowa mór
trzem maleńkim sardynkom imiona: Kora,
Karolinka i Karolinietka.

Małe sardynki były to śliczne żywe
rybki, bardzo ciekawe i bardzo psotne.
Królowa pozwoliła im podróżować po
wszystkich morzach świata i dała im cza-
rodzijską władzę czynienia się niewidzial-
nymi, w razie, gdyby od jakiegś wielkiej
ryby groziło im niebezpieczeństwo.

Ale dała im też warunek.

— Jeśli napotkacie — powiedziała —
wieloryba, nie zbliżajcie się do niego bli-
żej, niż na odległość czterech metrów, bo
wtedy wasza własność znikania będzie
wam odebrana.

I podróżowały sobie trzy małe sardyn-

wędrowała



Siedzi panna Hanka, tnie papier na paski.
Z pasków, w krążków barwnych wycina
obrazki

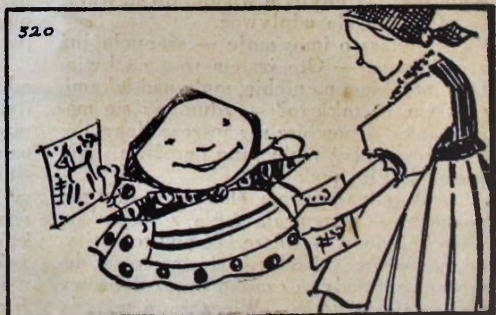
Wycina serduszka, wycina owieczki,
Sosonowe gałązki, śmigłe wiewióreczki.



A to wycinanka, jakiej nie bywało,
Jejmość papierowa z gębusią niemałą.
Chusta zawadiacka, spódnica, jak kula.
A ta wycinanka — to nasza Pyzula!



Do białej izdebki zręcznej panny Hanki
Schodzą się Kurpiowie, schodzą się Kurpianki.
Každy się Kurp dzielny do ścian strojnych zbliża
Patrzy, jaka piękna papierowa Pyza.



ki po wszystkich oceanach i morzach świata,
uniękały szczęśliwie sieci rybackich i
bawiły się wrymienieie.

Aż raz napotkały wieloryba — tak wielkiego,
iż myślały narazie, że to ludzki okręt.
Oglądały go ciekawie z daleka, potem
podpływały bliżej. A że sardynki były
ogromnie ciekawe — podpływały zupełnie
bliżutko i wtedy — chap — wieloryb
poknął je.

Żołądek olbrzyma podobny był do akwarium.
Pływało w nim mnóstwo małych rybek,
ale nigdy nie mogły wypłynąć z tego więzienia.

Bo ciekawość jest zawsze ukarana...

A królowa, gdy dowiedziała się o tym
smutnym zaginięciu Kory, Koralińki i Koralińki —
westchnęła i powiedziała:

— Ach, moje biedne sardynki! Po co
one tak blisko podpływały! zupełnie straciły
głowie!...

I kto wie, czy to nie na pamiątkę tych
właśnie słów sardynki w puszkach z oliwą
są odtąd bez głowy. Chociaż inni twierdzą,
że to dlatego, że inaczej nie zmieściłyby się
do puszek...

A wy, jak myślicie?..

Kropelka rosy

Bajka duńska

Leżało już słońce w łóżku i gasi świecę, bo za chwilę zaśnie i spać będzie do rana.

Zaba kumkała, mówiąc ludziom „dobranoc“ a kumkaniu temu nie było końca. Pszczoła wracała do ula a małe dzieci płakały, że trzeba iść spać.

Kwiatki tulify kielichy, ptaszki chowały główki pod skrzydła a jeleni kładł się do snu w wysokiej trawie na polanie.

W wiejskim kościółku zadzwonił dzwon na Aniol Pański.

Cała wieś zwolna zapadała w sen. Na niebie migotały gwiazdy, a księżyc przechadzał się zwolna i poważnie.

— Czy już wszyscy posnęli, czy nie ma już nikogo? — zapytała mgła.

Milczenie. Nikt nie odpowiedział. Nie było nikogo. Wtedy mgła podniosła się i zaczęła się wić w swoich jasnych, przejrzystych zawojach.

Poczęła płasnąć nad łąką, unosić się, opadać, błaznić ponad polami. Zapadała w lesne mroki, wiała się po sadzawce, obejmowała długimi mokrymi ramionami pnie drzew. Chwilami przystawała nieruchomo, potem puszczała się znowu w tany.

— Cóż ty za jedna? — spytała ją macierzanka, wylewając zapachy dokoła.

Mgła na to nie odrzekła i w płasach popłynęła dalej.

— Czemu nie odpowiadasz — powtórzyła macierzanka — źle cię wychowali.

— Poczekaj! — szepnęła mgła. — Zaraz ci dowiodę, co potrafię — i spadła na macierzankę, zraszając ją do cna.

— Hola! hola! dość — poczęła biadać macierzanka. — Daj pokój i odejdz. Zmokłam tak, jak gdybym wpadła do stawu.

Mgła zaczęła odpływać.

— Pytasz o imię moje — szepnęła już z oddalenia. — Oto jestem rosą na kwiatkach, obłokiem na niebie, mgłą nad łąkami.

— Co, co takiego? — zdumiała się macierzanka — powtórz raz jeszcze. Znam dobrze rosę, gdyż mnie rano orzeźwia. Nie jesteś do niej podobna.

— A jednak jestem, choć mnie nikt nie poznaje — zaszemrała mgła z cichutkim westchnieniem — Muszę żyć pod rozmaitymi postaciami. Niekiedy jestem rosą, deszczem niekiedy, a czasem przez dąbrowy płynę jako strumień. Wieczorami zaś, gdy się za mgłę przebieram, nikt mnie nie poznaje.

— Ach, to zabawne, powiedz, — dziwiła się macierzanka.

Mgła rozpoczęła opowiadanie

— Urodziłam się w głębi ziemi, tak głęboko, że ty korzeniami tam nie dosięgniesz.

Ja i siostry moje, gdyż liczna mam rodzina, byłyśmy w chwili narodzin kropkami źródła, przejrzystego jak szkło. Musiałyśmy długo żyć pod ziemią.

Aż wiem, jednego dnia wytrysnęłyśmy nagle u stóp wzgórza i po raz pierwszy ujrzaliśmy słońce. Co to była za radość.

Skakałyśmy w kamienia na kamień, pluśkałyśmy się wesoło. W wodach naszych pływały rybki, przeglądały się w nas drzewa.

Ale to nieszczęście, że nikt nigdy nie jest zadowolony ze swego losu. Parło nas ciągle naprzód aż wreszcie wpadłyśmy do ogromnego jeziora i poszłyśmy, rade nie rade, na dno, kedy straszliwa panowała ciemność.

Tęskniłam za słońcem, więc uniosłam się na powierzchnię. Boże, jak prążyło w tym miejscu na jeziorze. Toteż po zachodzie słońca nabrałam dziwnej lekkości. Jak to się stało, nie wiem, czułam jednak, że muszę się unieść w górę, ponad jezioro i lecieć, lecieć . . . wysoko. Wiatr wieczorny unosił mnie i moje siostry. Stałyśmy się obłokiem i płynęłyśmy po niebie.

Czyś pojęła?

— Nie — szepnęła macierzanka.

— Gonił nas wiatr. Wreszcie go to znudziło i porzucił nas. Wtedy spadłyśmy na ziemię jako kropki ulewnego deszczu i poczęłyśmy wnikać w nią aż do korzeni drzew, korzenie drzew poczęły mnie wznosić i przez cały dzień musiałam krążyć przez żyły galezi i liści, zaprzęgly mnie one do ciężkiej pracy i zwolniły z niej dopiero wieczorem.

Kiedy słońce zaszło, drzewa i kwiaty odetchnęły głęboko, a w tym oddechu i ja i siostry moje uleciałyśmy w powietrze w postaci lekkiej, powiewnej mgły. Płasnęłyśmy całą noc nad łąkami. Rano zaś, kiedy słońce wstaje, zmieniamy się w kropelki rosy, które wiszą na twoich listkach. Kiedy nas strząsniesz, spadamy znów do źródła, które nam dało życie i rozpoczynamy wędrówkę na nowo.

Tymczasem na niebie zapalały się ranne zorze, a słońce wyjrzało z poza wzgórza.

— A gdzie się podziała mgła? — dziwiła się macierzanka.

— Jestem tutaj — dzwoniła kropelka rosy, zawieszona na brzegu jej listka.

— Ech, bajki! — odrzekła macierzanka.

Jan Kasprowicz

— Jak widzę, Janku, to polubiłeś tych wielkich ludzi... I wciąż przychodzisz do mnie, abym ci znowu o kimś innym opowiedział.

— Dlatego lubię, że to twoje opowiadania są krótkie... A poza tym tak bez planu, o kim chcę, to mi mówisz. Raz o kimś z XV wieku, raz znów o kimś współczesnym. I dziś też chciałbym usłyszeć o człowieku bliskim nam, o Janie Kasprowiczu.

— Dobrze trafiłeś, boć jego życiorys znam też dobrze... Otóż zaczynam: Jan Kasprowicz urodził się we wsi Szymborze pod Inowrocławiem...

— W roku 1867, prawda?

— Tak!... A ojciec jego był zwykłym rolnikiem i posyłał syna do szkoły powszechnej w Łojewie, gdzie nauczycielem i kierownikiem był ojciec Stanisława Przybyszewskiego. Widział on w Janku wielkie zdolności i dlatego postarał się o to, że chłopca oddano do gimnazjum w Inowrocławiu.

— A czy skończył Kasprowicz tam gimnazjum?

— Nie!... Musiałby chyba mieć serce z kamienia, które nie zareagowałoby na szykany Niemców. Drugim gimnazjum, do którego uczęszczał Janek, było gimnazjum Marii Magdaleny w Poznaniu...

Widziałem je . . .

— No widzisz.. A to gimnazjum nie było ostatnie. Tu Kasprowicz zorganizował kółka, które miały na celu uczenie języka polskiego i historii. Janek został „odkryty” i natychmiast wydalony.

— A maturę zdał, czy nie!...

— Zdał, mając 24 lata... Zdał ją na Śląsku, bo w okręgu poznańskim nie wolno było mu się uczyć. Na tym oczywiście Kasprowicz nie zaprzestał. Zapisał się na uniwersytet w Lipsku. Żył w bardzo ciężkich warunkach i dlatego nie skończył studiów.

— A co robił we Wrocławiu?

— Też jakiś czas był na uniwersytecie. W tym czasie Kasprowicz pracował wśród górnoślązaków, głosząc hasła antyniemieckie. Zostaje wtedy za to aresztowany i więziony. Zabraniają mu mieszkać na Śląsku. Więc Kasprowicz po pewnym czasie przenosi się do Lwowa gdzie pracuje jako publicysta i poeta. Szybko zyskuje sobie w tym mieście wielkie uznanie, czego dowodem jest zaproszenie go na profesora literatur porównawczych na uniwersytecie lwowskim. Dostaje nawet tytuł honorowego rektora (największe wyróżnienie!) Jest sławny jako tłumacz dramatów greckich, poezji angielskiej i niemieckiej.

Po pewnym czasie chciał Kasprowicz opuścić Lwów. Nie pozwolono mu po prostu na to. Pozostał na usilne prośby obywateli Lwowa.

Za uciulanę pieniędzy kupił sobie działkę w górach i zbudował dom. Tam też umarł w roku 1926.

Kasprowicz jest jednym z największych poetów doby obecnej. Jest wyrazicielem tęsknot, pragnień i bólu całej ludzkości. Bo bardzo był czuły na nędzę i cierpienie człowieka...

Tadeusz Multański

DZIECI Z LEPAJA!

W niedzielę 20 marca o godz. 3, odbędzie się W LOKALU ZWIĄZKU POL-

SKIEJ MŁODZIEŻY, ul. BASEINA 8,

PRZEDSTAWIENIE KUKIELKOWE bajki W. Millera

„O Kasi, co nie chciała kaszy“

Powtórzenie bajki o godz. 6.

Bilety dla dzieci 20 sant.



— Byłeś w ogrodzie zoologicznym?
— Bylem, ale to zwyczajne zawracanie głowy.

— Jak to?
— Przecież takich zwierząt, jak tam pokazują, to wcale nie ma na świecie.

— Tatułu, barometr spadł.
— Dużo?
— Tylko półtora metra, ale zupełnie się rozbił.

— Wiesz, Karolu, ja nigdy nie mam zwyczaju komukolwiek usuwać się na trotuarze.

— To widocznie spotykasz tylko ludzi dobrze wychowanych.

— Czy oskarżony był już karany?
— Tak, przed 10 laty.
— A za co?
— Za kąpiel w niedozwolonym miejscu.
— A od tego czasu?
— Jeszcze się nie kąpałem, panie sędzio.

— W Stanach Zjednoczonych wypada jedno auto na trzech mieszkańców.

— A po co oni budują auta szczęści-osobowe?

— Co dałeś siostrze na imieniny?
— Dałem słowo honoru, że w przyszłym roku dostanie ode mnie prezent.

— Ile litrów mleka dziennie daje ta krowa?

— Około 15—18.
— I wszystko bywa sprzedane?
— Sprzedajemy co dzień 50 litrów.

— Powiedz mi, Stasiu, ile mamy pór w roku.

— Trzy: wiosnę, jesień i zimą.
— A gdzie lato?
— Na lato to ja z mamą wyjeżdżam za granicę.

— Jakie jest jedenaste przykazanie Boskie?

— Nie kpj z bliźniego swego.

WAŻNY POWÓD

Pewien pan spotyka na ulicy płaczącego, małego chłopczyka. Pyto go:

— Czego płaczesz, mój mały?
— Dostałem od brata grosz i zgubiłem go.

— Nie płacz! Masz tu drugiego grosza.

Pan odchodzi, lecz po kilkunastu krokach odwraca się i widzi, że mały chłopczyk jeszcze płacze. Podchodzi więc znów do niego i pyta:

— Czegoż ty jeszcze płaczesz?
— A, bo gdybym tamtego grosza nie zgubił, to miałbym teraz dwa! Uuu...

DZIECI REZEKNE!

W niedzielę 20 marca o godz. 2, odbędzie się W LOKALU POLSKIEJ SZKOŁY PODSTAWOWEJ ATBRIWOSZANAS AL. 36.

PRZEDSTAWIENIE KUKIELKOWE

„Spriditis“

bajki Annv Brigadere

Powtórzenie bajki o godz. 4.

Bilety dla dzieci 20 sant.